

Wojciech Stanisławski: Piórko w miniaturce. Polska i Międzymorze

Całego „Międzymorza” już chyba nie uwiedziemy. Ale, jeśli się postaramy, ciągle jeszcze możemy go nie zrazić – pisze Wojciech Stanisławski w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: Polska soft power.

„*Soft power* to moc wielce osobliwa” można by powiedzieć, parafrazując „Fausta”. Kryteria licznych rankingów, w tym tego szczególnie pochlebnego dla nas, sporządzonego przez Portland Communications, nadal nie są do końca jasne, i mimo podziału na takie kategorie, jak kultura, dynamika działań czy „cyfrowość” nadal nie wiemy, czy bardziej liczą się zabiegi czysto wizerunkowe (głośne modelki, komicy, roasterzy), liczba przyznanych stypendiów, wspomnienie szlachetnych zrywów z przeszłości czy konkretne osiągnięcie technologiczne – czy będą to klocki Lego, rozstawione wszędzie świece, kreujące nastrój *hygge*, czy nowy model smartphone. Rzecz jest dość zagadkowa i – jeśli wypada sięgnąć po tak frywolną analogię – przypomina nieco zagadkową naturę *sex-appeal*: po barwiczkę i nankiny sięgają wszystkie niemal damy, instrukcje stosowania są niby czytelne, a jednak zawsze pozostaje margines dla tajemniczego *je ne sais quoi*.

Temat to niełatwy nie tylko zresztą ze względu na niejasną podstawę teoretyczną i dyskusyjną mierzalność (to trochę jak z „ustawieniami” Hellingera, budzącymi niepokój przede wszystkim dlatego, że albo nie

wiemy, dlaczego działają; albo, co gorsza, domyślamy się tego), ale i bardziej doraźne okoliczności. Powiedzmy sobie szczerze, pisać o szansach polskiej *soft power* w regionie Międzymorza w dniach, kiedy na forach internetowych nie ścichły jeszcze szczęk mieczy żarliwych patriotów, piszących o Viktorze Orbana per „zdrajca” lub gorzej („jak on ŚMIAŁ nie poprzeć kandydatury Saryusz-Wolskiego!”), a zielono-brunatna endecja spod znaku ONR i Młodzieży Wszechpolskiej deklaruje, że „imigracja ukraińska w Polsce to wyzwanie społeczne i polityczne” – to nie jest łatwe zadanie.

Pytanie, czy miesiąc albo i rok temu byłoby łatwiejsze – tj. czy cocktail polskich stypendiów, wzorów działania, legend politycznych i atrakcyjnej oferty popkulturowej miał kiedykolwiek w ostatnim ćwierćwieczu stać się potężnym magnesem dla społeczności serbołużyckiej, słowackiej i rumuńskiej, względnie – czy mógłby się nim stać w przewidywalnej przeszłości.

Swego czasu nadzieje były potężne: ilekroć w latach 90., a i później, poruszano kwestię „polskiej polityki wschodniej”, nowych inkarnacji doktryny Giedroycia i Międzymorza zawsze, ale to zawsze musiał się znaleźć ktoś, kto ochoczo przypominał o inteligencji rosyjskiej, ukraińskiej lub węgierskiej prenumerującej „Przekrój”, zaczytujących się w miejscowych odpowiednikach EMPiK-ów „Szpilkami”, wykupującej płyty Tadeusza Nalepy i wsłuchanej wieczorami w transmisje Polskiego Radia. Ile powstało na tej kanwie rojeń o polskim *Kulturträgerstwie*, strach pomyśleć: podobnie jak we wszystkich dziedzinach, również tu szykowano się do przyszłych zmagania mając w pamięci poprzednie i nie racząc zauważyć, że od lat 60. i 70. w krajach Europy Środkowej zmieniała się zarówno kondycja i pozycja inteligencji, jak narzędzia przekazywania treści i wartości kulturowych.

Nie znaczy to, rzecz jasna, że nie posiadamy potencjału działania, nawet na rozchwybotanych wodach współczesności, która coraz mniej przypomina uróżowany ład ostatniego ćwierćwiecza – ład, którego obligatoryjną składową była uniolatria z relatywistycznym pakietem wartości w bonusie.

Mimo, że opowieść o przegranych i ofiarach epoki transformacji dopiero teraz zaczyna być traktowana serio, sama „transformacja polska” i jej efekty nadal może być punktem odniesienia dla krajów, które doświadczyły rządów oligarchów na taką skalę co Ukraina czy Mołdawia. Mamy też – mimo wszystkich wojen i podchodów na górze, zszargań i rozczarowań – opowieść o „polskiej drodze” o oślepiającym blasku wolności, który za naszą sprawą raz i drugi błysnął w XX wieku nie tylko nad Wisłą, ale i szerzej. Mamy wreszcie narzędzia do popularyzowania tej wiedzy: z racji rodzinnych i przyjacielskich związków najwięcej potrafię powiedzieć o programie „Study Tour to Poland”, czyli wizytach organizowanych od kilkunastu lat dla dziesiątków grup studentów i profesjonalistów z Białorusi, Mołdawii, Ukrainy i Federacji Rosyjskiej. Gośćmi tego „polskiego Fulbrighta” było już kilka tysięcy osób – a ma przecież sporą konkurencję wśród fundacji i instytucji zajmujących się promowaniem polskiego dorobku.

Nie ma się jednak co łudzić: opowieść o polskiej transformacji trafić może do osób na serio zainteresowanych wprowadzaniem konkretnych, nieefektywnych zmian na poziomie prawodawstwa, samorządów, działalności charytatywnej czy edukacyjnej, czyli do „organiczników”. W dodatku – organiczników na tyle skromnych i trzeźwych zarazem, by gotowi byli uznać, że warto się przyjrzeć ograniczonym sukcesom Polski, czyli kraju, który, podobnie jak ich własny, mozolnie wydobywa

się z postkomunizmu, nie zaś jedynie (by sięgnąć po frazę Barańczaka) „narodów, którym się lepiej powiodło”, anglosaskich czy skandynawskich. Środowisko skromnych, trzeźwych i ciekawych świata entuzjastów pracy organicznej to krąg dość elitarny – z pewnością jednak nawet i on jest szerszy niż starych i młodych polonofilów, którzy byliby w stanie nie tylko rzucić nam datek/komplement „Solidarity OK, John Paul II OK, Walesa OK” – ale na serio pochylić się nad swoistością polskiego doświadczenia, polskiego węzła – i zachwycić się nim, mimo tego, jak bywamy na co dzień nieznośni. Do szerokich rzesz konsumentów kultury i mocno rozwodnionej wiedzy o świecie przekaz ten jednak nie ma szans dotrzeć: tu potrzeba skoczków narciarskich (mamy pewne widoki), świetnych seriali i legendarnie uprzejmej Straży Granicznej.

Selektywność i elitarność przekazu, który mógłby umocnić polską *soft power* w regionie, nie jest ograniczeniem jedynym: chciałbym wskazać dwa inne, być może nieuchronne, których znajomość pozwoli nam jednak uniknąć pewnych złudzeń.

Pierwsze jest uniwersalne i z pewnością dotyka wszystkie kraje, starające się o skuteczną *soft power*, to „paradoks krajów ościennych”. Wiele stworzono teorii, tłumaczących, dlaczego sąsiadujące ze sobą wsie i kraje postrzegają się nawzajem stosunkowo mało życzliwie, ale samego faktu nikt nie poddaje w wątpliwość. Animoszje i obolałe ambicje w relacjach portugalsko-hiszpańskich czy szkocko-brytyjskich (by nie wspominać już o chińsko-japońskich czy serbsko-kosowskich!) są, dla dziesiątek przyczyn historycznych, dużo poważniejsze niż w przypadku Polski i Czech. Ukazuje to zresztą jedna z głębiej schowanych tabel w rankingu Portland Communications: *nemo propheta in regione sua*, popularność i atrakcyjność ogromnej

większości zwycięzców rankingu jest istotnie mniejsza w sąsiadujących z nimi państwach niż w reszcie świata. Biorąc pod uwagę, że istotną część wymarzonego Międzymorza to kraje z nami sąsiadujące – jest to istotna okoliczność.

Jest jednak jeszcze jeden *handicap*, który zdaje się dotyczyć nas w ostatnich latach w większym stopniu niż innych, a z którym być może coś jeszcze dałoby się zrobić. Różne negatywne cechy, przypisywane od dawna Polakom w badaniach wizerunkowych („dumni”, „pyszałkowaci”, przechwalający się zasługami swojego kraju, ale też domagający się dlań ostentacyjnego uznania), można próbować wytłumaczyć, sięgając do mało znanej składowej: tzw. narcyzmu zbiorowego.

O narcyzmie zbiorowym pisywać zaczęła przed kilku laty dr Agnieszka Golec de Zavala, wykładowca warszawskiego SWPS, ale i University of London, zwracając uwagę, że charakterystyczne cechy narcyzmu „indywidualnego” w niemal niezmiennym kształcie funkcjonują na poziomie identyfikacji zbiorowej. Psychologiczny narcyz, przypomnijmy, jest aż zbyt ostentacyjnie pewny siebie i przekonany tym, że ocieka swym urokiem; postawa ta ma jednak charakter obronny, wynika z głębokiego, ukrytego przekonania o własnej niższości, które domaga się kompensacji, stałego utwierdzania w pozytywnej samoocenie, „jazdy na *feedbacku*”.

Istnieje grupa testów psychologicznych, które w empiryczny sposób, mierząc różnice w tempie reagowania na rozmaite symbole, słowa i grupy skojarzeń, pozwalają stwierdzić skłonność badanego osobnika lub grupy do reakcji mieszczących się w „spektrum narcyzmu” – i z

badania dr Golec de Zavala oraz jej warszawskich współpracowniczek zdaje się wynikać, że reprezentatywne grupy badanych Polaków zdradzają istotnie wyższy stopień narcyzmu kolektywnego niż grupy reprezentujące inne narody europejskie. Oczywiście, takie ustalenia wystarczyły, by nasza badaczka cytowana była przez „Gazetę Świąteczną” częściej i bardziej ochoczo niż przez „Journal of Social Psychology” – ale też, zgódźmy się, nie jest to jeszcze powód, by podważać wiarygodność tych badań.

Wielki Sławomir Mrożek, doświadczający dziś „czyśca”, do którego musi ponoć trafić na ćwierć wieku każdy naprawdę wielki twórca, w latach 60. stworzył, równoległe do narratora „Monizy Clavier”, również bohatera rysunkowego: niewielkiego, czupurnego Polaka obarczonego groteskowo wielką czapką krakowską z pawim piórem – i równie wielkim ego.

Było to posunięcie bardzo ryzykowne: wpisał się nim Mrożek, po części niechcący, we front walki „nihilistów” z „patriotami” pokroju płk. Załuskiego (najlepiej bodaj opisał ten przekładaniec uwiedzeń i uprzedzeń Andrzej Werner w książce „Polskie, arcypolskie”), a i głębiej jeszcze, zważywszy, że wszystkie te konfederatki i czapki z piórkiem stanowiły żelazny atrybut sowieckich karykatur ukazujących „pańską Polskę” od 1919 aż po 1939 rok (rzecz ta zasługuje chyba na osobne studium). A jednak, pomyślmy przez chwilę: to „wybili, panie, za ojczyznę wybili”, to rozpoczynanie każdej rozmowy od piętnowania „niemieckiej propagandy”, te memy z towarzyszem pancernym zrenderowanym z Kossaka, wrzucane na Facebooka przy okazji każdej rocznicy bitwy pod Kircholmem, Kłuszynem i Wiedniem (jak również w inne dni), to upokarzające do łez poczucie niedoceny...

Jeśli na serio myślimy o polskiej *soft power* w regionie, byłoby naprawdę dobrze odrobinę zredukować narcystyczne pióro przy czapce. Spokojna pewność polskich osiągnięć, blasku wolności, który zajaśniał za sprawą poprzednich pokoleń, powinna nam w tym pomóc. Inaczej łaskotać będziemy tym piórem okrutnie braci Węgrów, Białorusinów, Ukraińców chyba przede wszystkim – i co miało być triumfem, skończy się śmiechem i kichaniem.